№ 34. Warszawa, dnia (8) 20 Sierpnia 1898 roku. Rok XL.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Pismo Illustrowane dla Kobiet

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Z przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Warszawa, Chmielna № 26.
TELEFONU 106.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi mar. 3 pf. 50.
Cena ogłoszeń: Wiersz petitu 1 szpalt. lub jego miejsce kop. 12. Nadesłane wiersz 1 szpaltowy garmontu kop. 50

MARYA RODZIEWICZÓWNA.

KĄDZIEL.

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

Kumoszki widząc, że się zanosi na scenę małżeńską poczęły się wysuwać nieznacznie. Gdy zostali sami Wawelski spytał:

— A byłaś też grzeczna, uprzejma dla niej?

— Myślisz, że się znaleźć nie umiem! — obraziła się pani Klara.—Zapominasz z jakiego domu pochodzę.

— Dość mi często przypominasz, żebym nie zapomniał, ale że cię znam więc pytam.

— Z pośpiechu tylko nie dałam jej honoraryum. Trzeba odesłać.

— To lepiej sama tam pójdź i podziękuj. Pieniędzy nie dawaj, bo nie bierze.

— Ale ja jej łaski nie potrzebuję i odeślę.

— Jak sobie chcesz!—mruknął zły Wawelski, i poszedł do chorego dziecka.

Pani Klara po południu wystylizowała piękny list, włożyła do środka trzy ruble i posłała służącą do Ozierskich, ale że Stasi nie było, odesłano jej list nietknięty. Następnego dnia powtórzyło się to samo, nareszcie na trzeci dzień odebrała pani Klara odpowiedź a w niej trzy ruble.

„Żadnego honoraryum za poradę nie biorę—pisała Stasia—mam już dość wielką nagrodę w tem, że chłopak pani zdrów, jak mi to mówi służąca. O ilem go poznała, organizm ma silny i powinien się pani zdrowo chować."

Na to pani Klara uczuła się zupełnie upokorzoną—rozczuloną nawet i poszła sama do Ozierskich.

Zastała Stasię, czytającą głośno matce, która tymczasem szyła.

Przyjęto ją uprzejmie i zaczęła wnet Stasia swobodną rozmowę, widząc zakłopotanie gościa.

— Przyszłam podziękować pani! — rzekła wreszcie pani Klara. — Pani postawiła mnie w przykrej pozycyi. My, dzięki Bogu, mamy się dostatnio, więc, nie możemy korzystać z bezinteresownej porady; to nas upokarza względem ludzi.

— No, ludzie wiedzą, że pani mnie wezwała tylko w ostateczności! — uśmiechnęła się Stasia. — Bardzo mi przykro, żem panią uraziła, ale nie mogę wyjątku zrobić ze swych zasad i postanowień. Leczę tylko bezpłatnie, spełniając legat siostry pani Skarszewskiej, dzięki której zostałam doktorem. Zresztą jeśli pani jest jeszcze przykro, proszę te pieniądze złożyć w aptece na lekarstwa dla ubogich, i niech się pani dalej tem nie trapi.

— Żeby to opisać, toby nikt nie uwierzył, że doktór, prawdziwy doktór, nie bierze pieniędzy.

— Bardzo mi przykro za kolegów, ale trzeba im to darować. Uważają medycynę jako środek utrzymania, rzemiosło, lub karyerę. Nie moja zasługa, że tak nie czynię. Matka mnie chlebem karmi i utrzymuje, żyje na jej łasce, więc mogę ideałom mym dogadzać.

Przechyliła się do matki i pocałowała ją w rękę.

— Dajże pokój, bredzisz!—broniła się Ozierska — ot, nawlecz mi igłę, bo niedowidzę. To, pani łaskawa, są bajki, co ona plecie. Całe życie chorowałam i kwękałam, a teraz, dzięki jej, jestem zdrowa, a wie pani dlaczego, bo mam teraz dopiero naprawdę robotę.

— Panie mają śliczny ogród?—wtrąciła pani Klara.

— Otóż to jeszcze. Na starość przyszłam do własności ziemskiej. Jest z tem zajęcie, a przytem, żeby pani wiedziała ile to jest nędzy i biedy, i nagości w takiej małej mieścinie. Córka to wszystko leczy, a ja ile mogę karmię i odziewam. Nauczyłam się krajać i szyć, i doprawdy tyle jest roboty, że nie mam czasu chorować. Od czasów młodych nie pamiętam, żebym była taka zdrowa i ruchliwa. Dobrze nam jest.

— Że też pani wytrzymała takie nauki! Sama wśród mężczyzn! Mój Boże! mnie krew stygnie, gdy o tem pomyślę. Powiadają, że oni tam żadnej delikatności dla kobiety nie mają, i jest się wciąż narażoną na najgorsze obejście.

— To przesada. Co prawda, ja bywałam zajęta tylko swoją nauką, i nie myślałam o niczem innem, nawet o niebezpieczeństwie od mężczyzn. Delikatności też od nich nie wyglądałam, ani opieki. No, i nikt mnie nie zaczepił.

Westchnęła pani Klara.

— Gdy zostałam sierotą, marzyłam też o pracy samodzielnej! O jakże była gorzką i ciernistą. Bóg mnie nareszcie doprowadził do bezpiecznego portu. Mąż mój wprawdzie nie jest z naszego stanu, ale potrafił mnie poznać i zrozumieć, więc mu wiele wybaczam. Zresztą, gdy zostałam matką, dla dziecka zrobiłam ofiarę z moich tradycyi.

Stasia zagryzła usta i odwróciła twarz, po której uśmiech latał. Ozierska szczęściem wybawiła ją z kłopotu dalszej rozmowy.

— Pani była w Rudzie czas dłuższy?

— Aż do zamążpójścia. Tam poznałam mego męża! Jakże zdrowie pani Skarszewskiej? Godna to osoba. Zawsze się wybieram ją odwiedzić, ale gdy się ma dziecko, nie należy się do siebie.

— Pani Skarszewska zdrowa—odparła Stasia. — Onegdaj tam byłam, u chorych dzieci ekonoma, alem tylko jedno uratowała. Okropny tam w całej wsi krup panuje.

— A pan Kazimierz się nie żeni? — zagadnęła Wawelska, ciekawie na nią patrząc.

— Nie wiem. Nie było o tem mowy, bo i on był nieobecny.

— To dziwne, że się nie żeni. Taki majątek. Tu mówiono, że się stara o pannę hrabiankę Wandę. Mój mąż go tam nawet spotkał parę razy.

— Chyba nie—odparła Ozierska—bo zeszłej Niedzieli była u nas pani Skarszewska i nic nie mówiła.

Nie, temat ten ich nie zajmował. Poczęła tedy pani Klara pytać czy znają proboszcza. Owszem znała go Stasia.

— Jakże się pani podobał? — badała ciekawie.

— Zdrów jest i żyłby sto lat, gdyby mniej palił cygar.

— Ale ja się pytam jak pani się podobał z rozmowy.

— Wcalem z nim nie rozmawiała, bom się spieszyła do innych chorych. Właściwie ja nikogo tu nie znam. Nie mam czasu.

— Bardzo światły kierownik i spowiednik. Chciała w ten sposób zbadać, czy Stasia bywa u spowiedzi, ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi, a że w tej chwili przyszła żydówka z chorem dzieckiem, uznała za stosowne zakończyć swą wizytę.

Potem opowiadała znajomym, zawsze jeszcze pod wpływem urazy do Fijolskiego.

— Zupełnie przyzwoita osoba, a wszystko co gadano, to ten stary rzeźnik wymyślił. Ja nawet powiem, że gdybym, broń Boże, zachorowała, do niej pójdę. Zawsze śmielej z kobietą się rozmówić. Tylko to żenujące, że pieniędzy nie bierze.

Wszyscy się tem skandalizowali, ale pomimo to klientela Stasi rosła. Postanowiła kupić konia i pewnej Niedzieli, zabrawszy matkę pojechała do Rudy, by ten sprawunek załatwić.

Co prawda też, kampania dyfterytowa wymęczyła ją bardzo, i chciała wypocząć dni parę w towarzystwie pani Taidy.

Gdy zajechały pod ganek, Kazio wyszedł na ich spotkanie i powitał milczeniem, pomagając wysiąść.

— Mój drogi, musiałyśmy wam jakieś projekty pokrzyżować, bo wyglądasz bynajmniej niezachwycony naszym widokiem!—rzekła mu Ozierska szczerze.

Poczerwieniał jak rak. Jemu tak bardzo zabiło serce radością, że aż się słowem zdradzić obawiał.

Jął protestować.

— Takem się zdziwił. Panie nigdy nie bywają. Żadnych nie mamy projektów. Matka się bardzo ucieszy.

(Dalszy ciąg nastąpi).

ECHA KATASTROFY.

Burze w przyrodzie mają to do siebie, że ich zniszczenia dzisiejsze, jutro pod ścisły rachunek wziąść można; burze i katastrofy społeczne pod względem następstw cechuje pewna przewlekłość, i dlatego ich rozmiary zawsze nam się z pod obliczenia na razie wymykają. Czas dopiero, okoliczności, nadają faktom oświetlenie właściwe, wszystko zatem co się bierze pod pióro bezzwłocznie, natychmiastowo, doraźnie—wszystko to nawet przybliżonego pojęcia dać nam nie może o istocie samego faktu—cóż dopiero gdybyśmy ten fakt, to zniszczenie w cyfrach wyrazić próbowali.

Z takim właśnie rozrachunkiem dotyczącym ostatnich ruchów przeciwżydowskich w Galicyi, spotykamy się w 168 numerze „Wieku." Nie dlatego przytaczamy go tutaj, izby nam się zasadniczo błędnym wydawał, owszem ma on swoje cechy wiarogodności, które go czynią względnie blizkim prawdy, wszelako wykaz strat i szkód, przekonani jesteśmy, okaże się z czasem więcej niż w trójnasób wyższym, jeśli wogóle przypuścić nam wolno, że kiedykolwiek wykaz podobny sporządzić będzie można. Bez względu na to jednakże, podajemy tutaj ten bilans tymczasowy w treści dla wiadomości czytelników.

Według korespondenta „Wieku" w aresztach sądów powiatowych: Bialskiego, Wadowickiego, Żywieckiego i Myślenickiego osadzono razem 700 ludzi — z tych uwolniono 600, a 100 odstawiono do sądu kryminalnego obwodowego w Wadowicach. W jurysdykcyi sądu krajowego Krakowskiego t. j. w powiatach: Chrzanowskim, Krakowskim, Wielickim, Bocheńskim i Brzeskim aresztowano 800 osób, z których 150 odstawiono do sądu krajowego karnego w Krakowie — w obwodzie Tarnowskim, czyli w powiatach: Dąbrowa, Tarnów, Pilzno, Mielec i Ropczyce, było aresztowanych 200 osób, a z tych do kryminału w Tarnowie przeszło 60—Obwód Nowy-Sącz obejmujący powiaty: Nowy-Targ, Limanowa, Nowy-Sącz i Grybów, miały aresztowanych 1,000, z których przebywa obecnie w kryminale 250 osób — w okręgu sądowym Jasielskim, t. j. w powiatach: Gorlice, Jasło, Krosno i Strzyżow było aresztowanych 500, a z tych dostało się sądowi okręgowemu w Jaśle 150. Dodawszy do tego obwody: Rzeszowski, Sanocki i Przemyski, rachunek ogólny wypadnie tak: przyaresztowano 3,500 ludzi; po kilku dniach śledztwa wstępnego wypuszczono tymczasowo 2,500, a 1,000 ma sobie sformowane procesy karne.

Obliczenie mitręgi w czasie, jakie to za sobą pociąga, jest w przybliżeniu wedle korespondenta takie: aresztu wstępnego w powiatach było dni roboczych 35,000. Odstawieni do trybunałów odsiedzieli dotąd przeciętnie po miesiącu czyli razem 82 lata. Spodziewana kara przeciętna stanowić będzie po 2 miesiące ciężkiego więzienia z postem, czyli razem około 100 lat kary — razem wszystkie dotychczasowe obliczenia wskazują w przybliżeniu 500 lat więziennych.

Obrachunek na pieniądze: stracone dni aresztowanych i zasądzonych warte co najmniej 50,000 reńskich — koszta sprowadzenia wojska i żandarmeryi 10,000 — komisye śledcze i zjazdy 5,000 — szkody zrządzone przez zaburzenia 150,000 reńskich. — Koszta spraw sądowych i świadków 10,000 - razem 250,000 gotówką.

Zdaniem naszem pozycye poszczególne, a zatem i całość mają tylko tytuły kosztów trafnie wykazane; co do cyfr, o tych niema co mówić, bo z pewnością, to co się da kiedyś obliczyć w kilkakroć je przeniesie. A zmarnowane dla braku rąk zbiory, a nędza i rozpróżnowanie powszechne jako następstwo, a egzekucye kosztów i wywłaszczenia! Dajmy pokój rachunkom — rachunki i za lat kilka zlikwidowane jeszcze nie będą, a o moralnych skutkach awantury lepiej zamilczeć w tej chwili.

A teraz gdybyśmy dotknąć spróbowali pobieżnie, krótkim rzutem oka na sytuacyę, tego wrażenia, jakie na całej społeczności galicyjskiej uczynił ów konflikt niepożądany, trzebaby nam to wrażenie określić jednym jedynym terminem: pognębiające—innego odpowiedniejszego nie znamy.

Stronnictwa, a na brak tych nie cierpi jak wiadomo Galicya, stawiają sobie już dzisiaj ciężkie wzajemne zarzuty i obwinienia. Jedne z tych zarzutów mówią, że stronnictwo rządzące nie brało nigdy do serca interesów klasy ludności najliczniejszej, że popierając w stolicy tylko sprawy osobiste i koteryjne, puściło w zupełne zapomnienie interesa ludu, nie pomyślało o zabezpieczeniu go od żydowskiego materyalnego wyzysku, a przeciwnie faworyzowało pierwiastek semicki wyróżniająco, który też rozrósł się i uzuchwalił, aż do przewagi zupełnej i bezprzykładnej prowokacyi. Obwinieni powiadają znowu, że to, co zrobić było można w zakresie oświaty ludu i możebnych dla niego materyalnych pomocy, to jest zrobionem, a za resztę to jest za fakt sam, niechaj odpowiadają przed społeczeństwem ci, którzy ten lud rozpolitykowali bez żadnej potrzeby, i oderwali od pracy wmawiając mu misye polityczne i prawa, które on sobie po swojemu przetłómaczył, to jest wziął je za prawo zajmowania się sprawami, których nie rozumie, i wyrządzania sobie samowolnego odwetu, ile razy mu się dzieje krzywda.

Przy kim słuszność—czy wogóle ma która ze stron spierających się całą słuszność za sobą, nie chcemy wobec świeżej jeszcze katastrofy, oczywiście w tak pobieżnej wzmiance, jaką jest ta, rozstrzygać, a choćby insynuować co do tego opinii żadnej czytelnikowi. To fakt jednakże, że w tej partykularystycznej polityce, jaką od paru dziesiątków lat prowadzi Galicya, rozpętały się wszystkie nienawiści klasowe aż do zapomnienia, aż do szału, aż do zupełnego spuszczenia z oczu najżywotniejszych interesów prowincyi, a tembardziej społeczności całej. Że tam, gdzie wszyscy drą się ze wszystkimi, wewnętrzny nieprzyjaciel zbiera żniwo, to także nikogo dziwić nie powinno, a niema też już chyba sentymentalistów, którzyby żyda galicyjskiego inaczej jak za nieprzyjaciela uważać

chcieli. Wreszcie pomyłki takie robi on już sam dzisiaj niepodobnemi zupełnie. Rzuca oto wyzwania, lży tę społeczność słowem, odważa się, ten wzgardzony i odepchnięty sądzić historyę narodu, który go przygarnął jeden z pomiędzy wszystkich ludów rodziny europejskiej. Prowokacya żydowskich pism galicyjskich przechodzi pod względem bezczelności wszystko, czego oczekiwać mogli od nich najdalej posuwający się pessymiści, i najbardziej zdecydowani ich nieprzyjaciele.

O wyzysku bajecznym, którym gnietli przez lata tę ludność nieszczęśliwą żydzi, kroniki w istocie pisaćby można, to też w sądzie o tych stojących dzisiaj przed prawem, o tych gwałtownikach i niszczycielach żydowskiego mienia, bardzo oględnym być należy. Rozpacz przy ciemnocie, to zły doradca, a jeśli nie zbywa oprócz niej i na innych jeszcze doradach, to trudno się dziwić, że wybucha z siłą żywiołową przy lada sposobności jedna z katastrof takich, od których oczy ze wstrętem odwracają współcześni

A. S.

PARYŻ.

Emila Zoli.

SPRAWOZDANIE.

(Ciąg dalszy).

Idzie tedy ksiądz Piotr, ale potrochu tak, jak się to idzie, żeby zobaczyć jaskinię dzikiego, którego się poznało. Wiedział, że jest tam trzech synów dorosłych, pracujących każdy niby benedyktyn jaki w swoim zawodzie (rozumie się benedyktyn świecki, bo któżby tam o innych wspominał), wiedział, że ma ich uspokoić co do zdrowia ojca, i odnieść te kilka wyrazów owej matce Spartance, ale on na samym wstępie powitany zostaje przez czwarte dziecko, takie sobie przybrane dziecko Wilhelma, niejaką pannę Maryę Couturier sierotę po przyjacielu, która za zgodą pani Leroi weszła pod ten dach cichych cnót i bohaterstwa wszelkiego rodzaju. Wszystko bo też tu w istocie tchnie tą niezamąconą harmonią bezwyznaniowości i czystej filozofii życia, wszystko jest czystem dla zasady samej, a nie z jakiejś trwogi albo przesądu, a ta sama pani Leroi, to najidealniejszy typ szlachetnej ateistki—dzielnej, odważnej, a przytem niewyczerpanie łagodnej i dobrej. Tak jednem słowem, jak to w praktyce życia widzieć można codziennie, daje do zrozumienia autor.

Obiecaliśmy wam, czytelnicy, najdosadniej skłamany typ kobiecy i myślimy, że znajdziecie go takim w samej rzeczy, ale pod względem efektu, to jest kontur tylko, który wam daliśmy. To trzeba zobaczyć wycieniowanem przez Zolę, żeby osądzić, jakiego to nakładu sofistyki użyć musiał ten utalentowany pisarz, aby wypuścić ten falsyfikat kobiecości, który mimo całego talentu jego, razi kłamstwem tendencyjnem w każdym rysie.

Jest też tu i scena rodzinna pełna rzewnej patryarchalności, a przytem *tout ce quil y'a de plus moderne*, jakby powiedziano w magazynie konfekcyi damskiej, ale dla oddania jej, słów jeszcze kilka o tej pannie Couturier nadmienić nam wypadnie, boć tu ona w tej scenie ma odegrać rolę główną, ba! w tej i niejednej jeszcze, ale tymczasem zobaczmy ją w tej pierwszej.

Trzeba wam wiedzieć czytelniczki, że ta Marya Couturier przebywała od 6 do 19 roku życia w domu Wilhelma Froment pod kierunkiem jego teściowej. Tu, jak się wyraża Zola, odebrała ona wykształcenie gruntowne, które się przedziwnie przyjęło w tym mózgu solidnym, żądnym świadomości wszystkiego i spokojnym dlatego właśnie, że świadomym (?). Była bardzo czystą duchowo, bardzo prawomyślną pod względem moralnym i nadzwyczajnie zdrową fizycznie, piękną przy pomocy byle jakich środków, jak tylko prawdziwa kobieta piękną być może. Nie żądała od życia nic więcej, jak to, czego ono dostarczyć może, a wszystko co trąciło zagadką bytu, jego ewentualnym dalszym ciągiem poza grobem, było jej obojętnem zupełnie. Z czułością powracała pamięcią do swojego dzieciństwa, rozrzewniało ją wspomnienie matki, nie zapominała nawet o tem, że jej matka była nadzwyczajnie nabożną, i że kiedy ją prowadziła do pierwszej komunii, obu im wydawało się, że widzą otwarte bramy niebios. Ale pozostawszy samą na świecie, a nadewszystko pod wpływem tego cichego błogosławionego otoczenia, które ję przytuliło, wpredce odrzuciła od siebie wszystko, co obrażało jej zdrowy rozsądek, odrzuciła to wszystko, co dla jej cnoty zbytecznem było zupełnie. Takiej policyi moralnej nie potrzebowała ta istota wybrana, a nawet oburzała ona ją do żywego, i tym sposobem doszła do pożądanego ateizmu spokojnego podobnie jak jej wychowawczyni pani Leroi i jej mistrz Wilhelm Froment. Czy tylko mistrz?

Otóż nie!—wcale nie! Ten opiekun wzorowy, a bezinteresowny pomyślał, czyby przy jego 57 latach, siwym włosie i trzech synach, z których najmłodszy liczył lat 20, nie można sobie dla dobra nauki i społeczności odświeżyć umysłu taką miłą dystrakcyą, jaką obiecywała ta zdrowa Marya Couturier. Synowie jego zachwyceni byli tym projektem; wyrocznia tego domowego ogniska mama Leroi, znalazła to zupełnie naturalnem, a ona? ona sama uważała, że to jest wielkiem szczęściem pokochać takiego uczonego człowieka, takiego chemika, pomimo, że o jego pracach w gałęzi specyalnej materyi wybuchowych nie miała jeszcze należytego pojęcia. Wszyscy byli zachwyceni, traktując tę sprawę tak trochę z turecka, to jest, że po tylu pracach dla ludzkości należała się przecież jakaś rozrywka temu przykładnemu patryarsze.

A jednak była to tam powaga, była!—mówi Zola. Nic prócz honoru, nic coby nie było pracą i obowiązkiem, a po nad tem wszystkiem niezrównany majestat tego ojcowstwa pogańskiego, i tej ateistycznej babuni.

To też kiedy ksiądz Piotr żegna rodzinę i zapytuje każdego z jej członków, co mają do powiedzenia Wilhelmowi, odpowiada mu babcia Leroi, że dotrwa na wyłomie jak przystoi kobiecie, która posiadła całe zaufanie tak znakomitego człowieka, jak jej zięć. Najstarszy syn przesyła ojcu zapewnienie, że aparat, nad którego wynalazkiem pracowali obaj, funkcyonuje wybornie. Młodszy Franciszek, oznajmia, że jest pewnym egzaminów, a ten cherubin 20-letni Tomasz, prosi ojca, żeby wracał jak najrychlej, a już Marya pomyśli o jego uszczęśliwieniu.

Babcia Leroi daje uśmiechem swoje świeckie błogosławieństwo — temu ewentualnemu świeckiemu uszczęśliwieniu, a Marya odpowiada rumieńcem, ale nie rumieńcem zakłopotania, tylko rumieńcem... zdrowia.

O tem zdrowiu nie może się Zola nagadać dostatecznie. Niezwyczajnie zdrowa była widać ta kobieta. A tak! Zobaczymy wreszcie!

Ksiądz Piotr wychodzi otumaniony poprostu. Spodziewał się zastać dezorganizacyę, upadek moralny, a tymczasem natrafił na eden szczęścia, a w tym edenie na wszystkie cnoty i heroizmy, których daremnem byłoby zupełnie poszukiwać w rodzinach starego autoramentu. Ci, których on dotąd znał—ta jego niegdyś owczarnia, jakże daleką ona była od tej doskonałości.

Sporo mamy do pogadania o tych cnotach i o tej abnegacyi uczonego Wilhelma, i o babci Leroi, a no i słów parę niestety o samym księdzu, albo ex księdzu Piotrze Froment, jeśli kto woli.

Dla streszczenia fabuły zmuszeni jesteśmy dać za wygraną większej części epizodów, ograniczając się do tych jedynie wypadków, w których występuje na widownię obchodząca nas przedewszystkiem rodzina Froment. A jakkolwiek tamto wszystko to sytuacye wstrętne, ale pod względem wartości artystycznej, a bodaj że i wierności obrazów, przyznajemy że są to epizody niepośledniego znaczenia. To już nie społeczność żadna broń Boże, to co w tym kraju u wierzchu usadowione na swoim w rozmaity sposób ukradzionym przywileju rozwija się ciągle z łaski Zoli przed oczyma czytelnika. To jakieś zgraje niebywałe, zrekrutowane z ostatnich mętów ludzkości bankrutującej, jakieś widma nigdy nie trzeźwiejące z szalu, szakale drapieżności, świętokradcy już nie wobec religijnego, ale jakiegokolwiek świeckiego kodeksu. To wszystko anarchia w najściślejszem znaczeniu tego słowa, warta najzupełniej tej drugiej, która tam u spodu zgłodniała, nieubłagana w zemście dyszy i czyha na moment porachunku za lata nędzy swojej i powściąganej zawiści.

Ktoby z wysoka patrzył na zbliżające się fatalnie ku sobie te dwa żywioły, tak jak je w tym bojowym szyku przedstawia autor „Paryża," ten wraz z poetą wykrzyknąćby musiał pełen przerażenia: *Mówili, że to tak będzie, ale dopiero w ostatni dzień!* Tak jest! Gdzie do takich objawów dochodzi, tam istotnie ów dzień ostatni dalekim być chyba nie może.

Tymczasem powróćmy do ciągu opowiadania.

Zaniepokojony jest niezmiernie Wilhelm Froment, bo doszło do powszechnej wiado-

mości, że Salvat jest autorem katastrofy dynamitowej. Dzienniki powtarzają jego nazwisko, ministeryum chwieje się, policya ściga winowajcę, a sfory całe reporterów wtórują tej obławie, wyławiając szczegóły z jego przeszłości, kłócąc się o pochwycony corpus delicti, insynuując wedle barwy czy interesu dziennika, który ich do naganki wynajął. Tymczasem ten Salvat zaszył się gdzieś tak, że go dostać nie mogą, a Wilhelmem Froment miota straszny niepokój, aby schwytany, bo jego muszą w końcu schwytać, nie wyśpiewał w rękach sprawiedliwości zkąd dostał tej substancyi wybuchowej takiej niepojętej siły. On mu przecież tego zamachu nie doradzał, ale gdyby dojść mieli po nitce do kłębka, gdyby pochwycili u niego cały zapas tego kordyału niechybnego na cierpienia ludzkości, który jego geniusz i wytrwanie stworzyły, przepadła praca całego życia, przepadło osiągnięcie wielkiego celu gonionego z taką namiętnością. Na szczęście nie pochwycą już teraz; mama Leroi czuwa jak Sybilla u wrót tego edenu, który jej zięć ma przed ludzkością otworzyć; ona nie odda nikomu tego kufra — ma instrukcye i wie co robić na wszelki przypadek! Al! to rzymianka prawdziwa ta mama Leroi; do takich heroizmów tylko pogaństwo całkowite prowadzi kobietę. Żadna, żadna inna sentymentalna, wierząca mdła, świętoszka... ale o czem tu mówić nawet—gdzieby która z nich podniosła się na podobne wyżyny. No, ona jedna, tak jak jedyną jest recepta jej zięcia przeciw wszystkim nędzom i cierpieniom człowieka. Obaczymy. Nadchodzi wreszcie dzień, w którym osaczony, zgłodniały, podobniejszy do zwierzęcia niż do człowieka, dostaje się Salvat po zaciętem polowaniu, w ręce policyi. Te łowy, to także jedna z mistrzowsko-demonicznych scen, narysowanych przez Zolę z jakimś niepojętym realizmem już nie żółci, ale jadu i nienawiści—przeciw komu?—przeciw czemu? Chyba przeciw istniejącemu porządkowi rzeczy. Kto tak maluje sprawiedliwość ziemską w chwili jej funkcyi, bolesnej, wstrętnej— niechby nawet rzekł kto, nienawistnej, ten jednakże świadomie lub bezświadomie staje po stronie człowieka, który stworzył sobie religię odwetu, ale nie odwetu przeciw tym, którzy krzywdzą w jakikolwiek sposób, ale przeciw wszystkim bez wyjątku, którzy są odeń mniej głodni, mniej nędzni, i w sercu mniej mają piekła i nienawiści.

Nie w ten sposób atakował ustawy społeczne Victor Hugo. I on występował w obronie słabych, i on bronił słuszności, ale jakże to dalekie jedno od drugiego. Ten poniżony każdy u Victora Hugo, ty wiesz, czytelniku, że to twój brat, brat w idei chrześcijańskiej, w cierpieniu, w nieśmiertelności; niechajże ktokolwiek bezstronny, a choćby tylko niezaślepiony aż do szału, poczuje się do braterstwa z takim opętańcem, jak ten nieszczęśliwy pochwycony przez Zolę na fali współczesnego życia.

No i wzięty jest ostatecznie ten Salvat, bo jego pochwycenie to wielki atut w ręku upadającego ministeryum; musiał być wykrytym i wykryto go. Staje oczywiście przed sądem, tam jest bohaterem, męczennikiem za krzywdy milionów, ofiarą, której krew przeważy szalę bezprawi i t. d. Usiłowania bezowocne przystosowania jakiegoś kolorytu Chrystusowego do sytuacyi podobnych rażą niesłychanie, i co zapewnie dla autora byłoby najdotkliwszem, chybiają celu, a nawet wywołują wrażenia i nastroje ducha wprost przeciwne dla intencyi zbyt wyraźnych tego który je stwarza.

Od tej chwili Wilhelm Froment jest niepocieszony Nie zchodzi mu z oczu ten łagodny, ten dobry, słodki Salvat.

Jak się to zawsze zdarza Zoli, chybił efektu doszczętnie tam, gdzie sobie założył wywołać wzruszenie, ale za to dopiął swego w tem, w co włożył mistrzowstwo swoje, aby oddać wyuzdanie dzisiejszego Paryża przy wykonaniu kary śmierci. Okropne są te sceny, okropne te strojne zwierzęta zwane przez niego kobietami, wyczekujące świtu dziennego wśród rozmów bezecnych i strzelaniny korków od wina, ten nastrój możnych i niemożnych, pijanych wspólnym szałem tragicznego końca, którego nie będą widzieć naocznie, ale który przeczuwają, że się tam poza murem więziennym rozgrywa w tej chwili.

Jest tam i Wilhelm z Piotrem; obaj widzą grzechy i zbrodnie ginącej społeczności, obaj doświadczają dreszczu zgrozy i obrzydzenia, ale dalecy są jeszcze od siebie co do kwestyi zasadniczych—bardzo nawet dalecy. Biednemu Piotrowi Froment nie taki jeszcze upadek przygotował bezlitośny autor „Paryża.” Obłąkać się dla zasady to byłoby jeszcze coś!

Teraz już nic nie przeszkadza Wilhelmowi powrócić do domu. Tamten umarł, nazwisko jego nie zostało wymówionem, można tedy wziąść się do pracy, bo nie wszystko jeszcze skończone, a jutrzenka sprawiedliwości powszechnej i powszechnego szczęścia za sprawą jego zabłyśnie wkrótce nad światem.

No i wita te swoje ciche ustronie miłości i solidarności rodzinnej, witają go synowie i teściowa, i ta Marya, zawsze taka zdrowa, a on znowu patrzy nocą rozmarzony na tę ukochaną przez siebie stolicę cywilizacyi (tę samą, która mu się tak podobała w dzień śmierci Salvat'a) i widzi ją jak będzie dobroczynne promienie swoje i t. d., i t. d. On zawsze tak zachwycał się tym widokiem wieczornym Paryża, i gdyby mu perspektywy nie był psuł jeden punkt nienawistny, to siedlisko przesądu i ciemnoty, ta antyteza wszystkiego co wielkie i podniosłe et caet., et caetera...

Abyście sobie wyobraźni nie wysilały daremnie czytelniczki, wolimy wam powiedzieć odrazu, że to kopuła kościoła Sacré Coeur posiadała taki przywilej budzenia uniesień mędrca. Nie mógł się on nigdy pogodzić z tym pomnikiem wystawionym absurdowi na niesławę... nie mógł... darujemy wam resztę zarzutów, zapewniając, że Wilhelm Froment z rzeczy martwych na ziemi tej kopuły nienawidził najmocniej.

Nie daj Boże, aby on się kiedy rozgniewał bardzo, bo w takim razie ta kopuła nie byłaby znowu tak zupełnie bezpieczną, zwłaszcza przy jego tajemnicy środków eksplodujących wyjątkowej siły.

Ale nie uprzedzajmy wydarzeń.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Poza kulisami.

Czytelnik polski interesujący się kwestyami ogólno-europejskiego znaczenia, a zatem śledzący ruch umysłów, kierunki dążeń i wynikającą z nich wszelką, jaka się zdarzy akcyą czynną bieżącą, narażonym bywa bardzo często na spotykanie zagadek nie do rozplątania. Do kwestyi danej łączyć się nieraz poczynają ni z tego ni z owego komplikacye i zawikłania coraz to nowe — ze sprawy wychodzi sprawa—mnożą się rzekome oświetlenia sprzeczne i nie pasujące do siebie, a gdy po miesiącach całych nietylko nie widzi się ten czytelnik u końca labiryntu, w który go gadulstwo gazeciarskie wprowadziło, ale owszem czuje i odgaduje, że wie coraz mniej, a wnioskuje coraz gorzej, przychodzi mu naprawdę rozpaczliwe postanowienie, i zmięwszy ostatni dziennik, przy którym się dopracował tak smutnego rezultatu, wykrzykuje: A teraz, niechajże będzie basta! Mam dosyć mistyfikacyi i kłamstw — dalszy ciąg dla łatwowierniejszych odemnie!

Przyzna każdy, że sprawa Dreyfusa była jedną z podobnych łamigłówek czy mistyfikacyj, i to w niej właśnie było osobliwego, że im kto pracowiciej zaciekał się nad wykryciem jej źródła, i uparciej dopasowywał do niej wszystkie możliwe ewentualne wyniki, tem niepochwytniej wymykała się i jej geneza sama i wszystkie przypuszczalne finały a rozwiązania. Otóż z uwagi, że ciekawość wszelkich objawów życiowych u swoich i obcych uważamy w człowieku oświeconym za normalną zupełnie, z uwagi, że żywimy współczucie dla każdego zawodu i nienawidzimy wszelkiego rodzaju mistyfikacyi, radzibysmy wszystkim zniecierpliwionym, znużonym i zawiedzionym z racyi tej arcyprzewlekłej sprawy, podać najświeższy klucz do jej rozwiązania. Będzie to klucz francuzki—będzie to może znowu jakaś mistyfikacya nowa, ale z racyi, że ma ona dużo cech prawdopodobieństwa, że bądź co bądź fakt sam jej uporczywego wznawiania, daje się przez nią objaśnić i wytłómaczyć, więc przytoczymy tutaj w możliwem streszczeniu, ani poręczając, ani podając w wątpliwość to, w co nam każe wierzyć w tej materyi znany publicysta p. J. Cornely, w jednym z ostatnich numerów paryzkiego „Figara.” Oto rzecz przez niego przedstawiona:

Aż nadto widocznem jest, powiada p. J. C., że cudzoziemcy nie pojmują nas zupełnie, i że wszystkie nasze walki prowadzone obecnie wydają im się wprost szalonemi. Prawie wyraźnie mówią oni do nas: Jakiż wy doprawdy naród szczególny jesteście—wy Francuzi trzeciej respubliki! Czy w istocie wierzycie, że jest taka rada wojenna, któraby była niepomylną, a jeśli nie wierzycie, to jakim sposobem wy republikanie, cofać się możecie przed zadosyćuczynieniem za krzywdę—jakiem czołem odwlóczyć możecie przywrócenie do czci człowieka, jeśli istnieje krzywda i jeśli człowiek cierpi niezasłużenie. Tak robić mogą tylko dzicy, a nie naród cywilizowany,

tak nie może poczynać sobie względem obywateli swoich rzeczpospolita, tak... i t. d., i t. d., i t. d.

„Na to odpowiedź z naszej strony może być taka, jeśli ma być szczera i zupełna:

„Europa, jak się pokazuje, nie pojmuje położenia naszego wewnętrznego zupełnie; jest ona tak jak człowiek, którego zajmuje zapalana w tej chwili zapałka, a który ani się domyśla, że ta zapałka podpala fajerwerk, i że jej płomyk nikły nie zasługuje nawet na to, aby nań zwracać uwagę. Tu nie o żadnego Dreyfusa — nie o żadną jego faktyczną albo rzekomą zdradę chodzi w tej sprawie. Sprawa Dreyfusa to zapałka, a czem ma być fajerwerk sam, który ona ma podpalić, to można zrozumieć dopiero po wniknięciu w ducha naszych stronnictw i w założenia, jakie sobie każde z nich postawiło. Rzecz w istocie ma się tak: Francuzów jest dwie kategorye. Jedną z nich stanowią ludzie nieliczni, ale wyborowi, i tym chodzi przedewszystkiem o zasadę, a także i o słuszność. Ponieważ mniemają oni, że sądy skazały niewinnego, dopominają się przeto o rewizyę procesu — poza tem żądają jednak czegoś o wiele ważniejszego. Drugą kategoryę stanowi cała wielka reszta narodu mniej może kilkunastu uczonymi—kilku senatorami—niewielką ilością dziennikarzy, i ta reszta właśnie ani chce słyszeć o rewizyi procesu, a czy z głębi przekonania wierzą oni w niepomylność sądu, czy też pozwolili sobie to wmówić kilku energumenom, to w gruncie rzeczy jedno i to samo.

„Jakim sposobem przyszła Francya do dzisiejszej swojej formy rządu?

„W chwili upadku cesarstwa znalazło się we Francyi parę zaledwie tysięcy republikanów, którzy bardzo uradowani tem, że dawny rząd skręcił kark w podjętej przez siebie wojnie, postanowili przeprowadzić to, co uważali za podstawę bytu rzeczypospolitej, a zatem: zniesienie armii stałej, decentralizacyę władzy, oszczędności w budżecie, i laicyzacyę wychowania. Nie osiągnęli nic z tego, co sobie założyli, bo chwila była nieodpowiednia, owszem zmuszeni byli prowadzić dalej wojnę, stwarzać armie i popychać kraj w odłużenie.

„Po wojnie Francya dopuszczona do postanowienia o swoim losie, wykazała większość monarchiczną. Zamiast laicyzacyi zbudowano Sacré-Coeur—o decentralizacyi nie można było marzyć—armię powiększono do rozmiarów niebywałych, a z oszczędnościami stało się to, co z nadzieją zniesienia armii.

„Otóż w tym składzie rzeczy owa większość nie mogąc przywrócić monarchii zadowolniła się tem, że z rzeczypospolitej zrobiła karykaturę. Republikanie byli cierpliwi, bo liczyli, że dojdą do większości, a jakkolwiek czas przekonał, że się co do tego nie mylili, jednakże narzucony im stan rzeczy należało przyjąć wobec tego, co się działo w Europie całej. Kiedy nie można narodowi dać zwycięztwa, trzeba mu je obiecywać przynajmniej.

„Tu właśnie rozpoczyna się wielka anomalia naszego istnienia.

„Ani oszczędności, ani zniesienia armii, ani decentralizacyi! Pozostał tedy z programu artykuł 4-ty, i na ten rzucili się republikanie z całą zawziętością. Duchowieństwo musiało zapłacić za potłuczone garnki, jak się to mówi we Francyi, i dlatego stworzono szkołę świecką i rozpędzono zgromadzenia duchowne.

„Nielepiej jednak powiodło nam się w gruncie rzeczy i z tym artykułem 4 programu, jak z pierwszymi 3 ma. Respublika utrzymała poselstwo w Watykanie, budżet wyznań, a nawet przywileje biskupów, i tym sposobem rząd republikański opłaca usługi duchowieństwa, które odrzucił, i nominuje jego członków do spełniania funkcyj, których nie uznaje. Ze swojej strony duchowieństwo zaprzestało walki, no i niby pozornie ta walka nie istnieje.

„Niemniej walka jest, bo respublika musi być ateistyczną, tak dobrze, jak musi być wolną od stanu wojskowego. Prawdziwi republikanie wiedzą, że w tych warunkach, w jakich ona zostaje dzisiaj, rzeczpospolitę oczekuje śmierć niechybna, i dlatego oni walczą, ile razy sposobność do walki powstaje. Cudzoziemcy patrzą na nas i biorą nas za szalonych, a my tylko robimy to, co robić można w danej chwili. Kanibalami nie jesteśmy z pewnością, ale nam bynajmniej nie o Dreyfusa żadnego chodzi tutaj. Co tam Dreyfus! to pretekst; atak na armię, korzystanie z jej błędów, pomyłek, czy win, oto dno sprawy. Nie o co innego chodzi tutaj tylko o depopularyzacyę armii w oczach narodu."

Tego wyznania powinno być dosyć każdemu czytelnikowi, aby ostygł w swojem przejęciu się sprawą, która w istocie nie byłaby w takim razie niczem więcej jak parawanem dla ukrytej poza nią akcyi głównej. Komu tamte rzeczywiste dążenia są po myśli i sercu, ten może sobie w dalszym ciągu snuć konjunktury, na jakie mu jego wyobraźnia pozwoli, ale już nie będzie naiwnie wierzył, że to w grze o życie jednego człowieka ściera się ze sobą tyle namiętności i wychodzi na wierzch tyle ukrytych nienawiści.

NAZNAKOWANY.

Kartka z życia naszego ludu.

(Ciąg dalszy).

Jednego dnia jesiennego przyszedł stary Mróz do domu o zwykłej godzinie, ale do wieczerzy z dziećmi wedle zwyczaju nie zasiadł, tylko sparł się na przypiecku, a na komin kazał suchego drzewa dokładać, bo jak mówił, gorzej na świecie było jak w najtęższą zimę. Trząsł się przytem cały, a położywszy okrył kożuchem na głowę i tak doleżał do świtania. Kiedy się ruch w izbie zrobił zupełny, a stary ani wstawał sam, ani żadnej roboty nie rozporządzał, podeszła doń córka, aby się zapytać, czy mu co nie dolega przypadkiem. Ani słowa odpowiedzi. Patrzył nieprzytomnie, ręką się chwytał za głowę ciągle, jakby tam miał cierpienie jakie, i tak już pozostało do końca. Mamrotał tam cościk niewyraźnie, to o Marku, to o jakiemś poszyciu na obórce, ale dziewczyna tego wszystkiego nie baczyła, a nawet jej brat starszy — ten Jasiek, zakazał o tem wspominać przed ludźmi. Po co „powiadał" powtarzać co się takiemu przede śmiercią przybzdrzy do głowy, kiedy to tego wszystkiego w powrósło nie związać.

Czwartego dnia spoczywał już Antoni Mróz na cmentarzyku wiejskim obok żony swojej, a w chałupie zabierało się na nowe rządy i nowego gospodarza, jak to zwykle bywa w takich razach.

W sam dzień pogrzebu Antoniego Mroza, zauważyło dwoje pozostałych po nim młodszych dzieci, że z wieczora zaraz zniknął Jasiek z chałupy, i że go przez wieczór cały w domu nie było, ale że oni zwyczajni tego byli jeszcze za życia ojca, więc ich to tak dalece nie dziwiło. Pospali się też wprędce sami, boć to bądź co bądź pierwsza była ta noc, w której się poczuli sierotami zupełnemi, i tak ich rozebrał żal za tym ojcem nieżyjącym, który twardego serca człowiekiem nie był dla nich nigdy, a zresztą niepokoiła i przyszłość potroszę, bo w Jaśku instynkt jakiś nie wskazywał im opiekuna i obrońcy.

Późno w noc przyszedł on do izby, ale markotny czy gniewny był jakiś wyraźnie. Marek spał twardo, ale dziewczyna popłakiwała z cicha i to ją budziło od czasu do czasu, to też wyraźnie słyszała jak rozmawiał ze sobą urywanemi słowy, układając się do spoczynku.

— Albo im się tak przywidywało tylko, albo ja natrafić nie mogłem. A może kto wypatrzył... chociaż ja teraz baczę, że oni na tę obórkę, to zawdy mieli swoje oko, i jak tylko tam kto po siano wszedł na górę a za długo bawił, to duchem stawali we drzwiach i pilili żeby złazić. Nie może być inaczej, ale gdzie—ale jak dojść... chyba że po dniu... ale tak znowu ludziom na oczach... Trzeba szukać sposobu, a w odkładki się nie bawić, bo dyabeł nie śpi.

Jakoż nazajutrz wczesnym rankiem zaprzągł Jasiek parę koni do woza i wybrał się do dworskiego lasu w drabinach. Nikt go tam nie pytał po co i na co, bo juści ż nie kto, tylko on był tutaj gospodarzem teraz. Dopóki tam jakiego porządku nie zrobią ze wszytkiem, jego głowa była i jego rządy. Przywiózł furę gątów, ale że się zapóźnił i na zmierzch bez mała przyjechał, więc chmurny był, roztargniony, i dzisiaj także niechętnie na pytania odpowiadał. Drugiego dnia o świtaniu jesiennem siostrę z Markiem do młyna wyprawił, a kiedy mu przekładała żeby jechał sam, bo taki dzieciak jak Marek ani worka zdejmie, ani z niczem sobie we młynie nie poradzi, rzucił jej kilkanaście groszy, aby młynarczykowi za pomoc zapłaciła.

— Nie pojadę — mówił — bo robota jest w domu.

Co za robota? — myślała dziewczyna, ale myślała nadaremno; dziwiły ją te gąty, a śmiałości nie miała pytać, bo Jasiek jakś

dzisiaj szczególnie z podełba spoglądał. Kiedy już tamci za wsią byli, a i z ludzi po chatach każdy poszedł do swego zajęcia, przystawił Jasiek drabinę do obórki i zaczął obdzierać poszycie. Snopek za snopkiem odwiązywał od łaty i rzucał z góry na ziemię, a pilno mu było widać, bo dziura na dachu powiększała się szybko, i z niego po jakiejś godzinie aż pot się lał, tak gorączkowo pracował. Nie było nikogo na drodze, więc mu ludzie nie przeszkadzali, a on i sukmanę, i czapkę później zrzucił, a oczy świeciły mu się niby dwa węgle. W miarę tylko jak całego szara snopków do narożnej krokwi dokończał, ocierał czoło i klął na czem świat stoi, ale kogo, ale na co tak zemstował, trudnoby się było domyśleć temu, coby nań przy tej dziwnej robocie się patrzył. Już z dobre dwie godziny tak się z tem poszyciem zmagał, kiedy naraz rzuciwszy okiem na pochyłą ścianę słomianą, w miejscu gdzie na chłopa było wysoko, dojrzał jakiś głowacz jakby naznaczony, jakby odmienny, tak jakby kto umyślnie dwa snopki inaczej przewiązał, niż wszystkie. Nie miał cierpliwości doczekać się, aż koleją tam dojdzie, ale chwyciwszy kozika z za pasa poprzeżynał powrósła, tylko tych snopów już na podwórko nie zrzucał, a cofnął się z nimi pod dach i tam przez jaki kwadrans czasu pozostawał. Co robił, trudno byłoby z niego wymiarkować, ale spojrzenie miał teraz całkiem nie takie jak przedtem; jakaś siła i zuchwalstwo biły od niego, i tak patrzał jak to na wsi mówią, co to: nie wchodź mi w drogę!..

Oblókł sukmanę, przepasał się pasem i usiadł na krokwi spokojny już całkiem, a świat mu się wydawał, jak gdyby jego był cały—ludzie co teraz kręcić się zaczynali jacyś malutcy niezwyczajnie, i byłby tak czekał na każdego żeby go zaczepił, a on mu... Tu zaczynała działać refleksya, i znowu zasępił się, i znowu pracowicie w myślach przerabiać musiał, bo zlazł po drabinie, oparł się o wrótnię co do połowy na drogę była wywarta, i tak patrzał przed siebie, jak gdyby nowy jaki frasunek do niego przystąpił.

— Bóg z tobą, Jasiek, a ty co robisz? — odezwał się przed nim głos Filipa Augustyniaka, sołtysa Zaleskiego, który patrzył zdziwiony na odartą w trzeciej części z poszycia obórkę, i ani się mógł domyślać, co to mogła być za przyczyna tej roboty.

— Jak widzicie—odparł spokojnie Jasiek.

— A dy to łońskiego roku nieboszczyk poszywał, a ty teraz już zrywasz — bójże się ty Boga.

— Ano widzicie sami; oni poszywali, a ja odrywam.

— No, no! toś ty jakiś przemądrzały, a i po co obdzierasz?—powiedz.

— Gontów kupiłem; będę pobijał.

— Żebyś stworzenie zamroził; klepki ci się popsuły wyraźnie.

— Jak się popsuły to i co robić — to będą popsute.

Zbyt pewną siebie minę miał młody parobczak, żeby go tak jak zwyczajnego głupca miał odejść nie zaspokoiwszy ciekawości, której się nie mógł Augustyniak oprzeć, nie dobrze nawet wiedząc dlaczego. Zamyślił się też, i tak stali przed sobą nic nie mówiąc, aż naraz starszy z dwóch, jak gdyby pod wpływem jakiejś myśli nowej, w pół do siebie, wpół do tamtego się odezwał.

— Słuchaj-no, alboś ty bardzo mądry, albo głupi zewszystkiem.

— A wam jak się widzi?

— Powiedz, znalazłeś? - zagadnął, poprostu przystępując do rzeczy i zbliżając się ku niemu, jak gdyby dla przyjęcia zwierzenia.

— Jasiek mierzył go oczyma, szukając odpowiedzi wykrętnej, któraby go nie obowiązywała do niczego, ale także zdobywszy się na decyzyę, rzucił mu wprost a śmiało:

— A Józefkę dacie?

— To niema zwyczaju o takiej sprawie przy płocie gadać, ale kiedyś już taki nagły, to ci powiem tak, jak mówiłem nieboszczykowi: jakbyś ty jeden był na tę gospodarkę, to ja nie od tego...

— A co wam tatulo odpowiedzieli?

— Co odpowiedzieli—to co było i co jest: Bóg dał troje, to nie może być on jeden.

— I każdy z waju ostał przy swojem?

— Ano jakżeby inaczej?

— Mogłoby być inaczej—powiedział zwolna i z naciskiem Jasiek.

— Jakże to? Masz gadać to gadaj całą gębą.

— Oj! jacyście to wy nagli. Pytać umiecie, a odpowiedzi to z was hakiem nie dobędzie. Bez co mi nie chcecie dać dziewuchy?

— Boby jej tu było przyciasno—miejże ty rozum sam.

— A jak nie będzie ciasno?

— To gadanie tylko twoje takie. Troje was jest i nic na to nie poradzi.

— Troje było; teraz jest niby dwoje, ale to niby tylko, bo na to rozumem można poradzić, a o trzeciem, to ja nie wiem nic.

— A Marek? Co to? pomarł—czy co?

— Co miał pomrzeć - ale to przecie co in nego zupełnie.

— No, jużci niby to tak jest, jak mówisz—jużci to on tak jakby wpół głupi był — tak, to prawda - przyświadczał sołtys—ale zawsze widzisz, choćbyś tam kręcił nie wiedzieć jak, to jużci tę siostrę spłacić trzeba będzie.

— To się spłaci...

— Jakoś ty bardzo pewno gadasz. Tak, jakbyś te pieniądze na spłatę już miał w kieszeni.

— Może się i znajdą...

Znowu zapanowało milczenie, ale tym razem Jasiek odezwał się pierwszy.

— Józefkę dacie?

— Jak będzie wiadomo co i jak jest, to dam.

— Józefkę dacie? — powtórzył z naciskiem.

— Nie trafimy do ładu; powiedz — ostawili tatulo co grosza — znalazłeś w tem poszyciu, czy nie znalazłeś?

— Są pieniądze—powiedział Jasiek przyciszonym głosem, oglądając się bacznie na wszystkie strony.

— Wiele?

— Stary z was gospodarz, Filipie, i nie bez tego, żebyście grosza coś przez życie całe naciułać nie mieli, a mówicie tak dziwnie. Wybyście pozwolili sobie w kieszeń zajrzeć?

— No, widzisz ja co innego—ty co innego Ani tobie schować, ani się tobie z tem obejść...

— Kto umiał znaleźć, to będzie umiał schować. Niech was o to głowa nie boli.

— Widzisz, bo zawdy to tak jakoś nie dobrze będzie. Gdzie tobie takie rzeczy mieć u siebie; toby trzeba choćby tymczasem w jakie uczciwe ręce oddać, pismo na to wziąść, i czekać sobie spokojnie...

Znowu nastąpiła przerwa w rozmowie, a kiedy Filip najpewniejszy był, że sobie to wszystko, co on mu doradził, Jasiek teraz w głowie układa, zaczął ten ostatni powoli, a z wyraźnym akcentem szyderstwa.

— Nie po próżnicy to widać dzisiaj mówią, że stary rozum to był dobry na tamte czasy, a dzisiaj to on i trzech groszy nie stoi. Jakżebyście to chcieli takie choćby, na to mówiący, pieniądze, jak te, po dniu białym liczyć, pożyczać i jeszcze pismo z odbioru brać—to chyba po to, żeby ja z nich mało wiele, a może nic nie obaczył. Ja wam powiem, a wy posłuchajcie, to będzie lepiej, bo ja widzę, że mi się od was nie uczyć. Józefkę mi dajcie, a kiedyście sołtysem, to bądźcie przy całem prawie i róbcie z gospodarzami, żeby taksowali jak wypada, i żeby wszystko poszło gładko i dobrze, bo to i waszemu dziecku na złe nie wyjdzie — o pieniądzach nie gadajcie nawet do swojej kobiety, bo jak rozbębnione to i stracone. Ambarasy przysięgi, licho wie nie co! Już ja słyszał o tem, co tu było dwa lata temu u Maćka Kwaśniewskiego. Nie pilno mi wleźć w taki sam kłopot.

— No, dobrze, ale co będzie z Markiem?

— Da mu się sukmaninę na grzbiet i ciepły kąt w izbie, to przez całe życie spokój od niego będzie. Jeszczeby sobe kto Markiem głowę zaprzątał.

I oto jakim sposobem gospodarskie dziecko wyjść miało na łaskawy chleb i na poniewierkę ludzką.

Idąc do domu rozmyślał sobie Filip Augustyniak, a że go mocno przejęła scena, więc myślał głośno:

— Chytry, bo chytry, niema co gadać — żyda przeszedł. A jaki mędrek, jaki ostrożny. Gątów kupił zawczasu, żeby go nikt nie szlakował, po co on zdziera poszywkę i za głupiego nie wziął potem. Aniby człowiekowi do głowy przyszło to, co taki zrobi odrazu—na pierwsze pomyślenie. Niechże go!..

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRONIKA.

Kursa pszczelniczo-ogrodnicze.

Proszeni przez zarząd Towarzystwa pszczelniczo-ogrodniczego, podajemy poniżej streszczoną wiadomość o porządku wykładów i warunkach przyjęcia kandydatów na kursa rozpoczynające się w roku bieżącym w dniu 15 Września.

Przyjmewani będą zarówno mężczyźni jak kobiety liczący nie mniej jak 16 lat wieku. Kurs nauk dwuletni. Opłata roczna uiszczona w II ratach wynosi rs. 60. Wykłady dzielą się na teoretyczne i praktyczne; ostatnie będą mieć miejsce tak jak miewały dotąd w ogrodach Towarzystwa. W zakres ogrodnictwa wchodzą: sadownictwo, warzywnictwo i kwiaciarstwo; z nauk: botanika, chemia, fizyka i miernictwo — ostatnie w zastosowaniu do ogrodnictwa. Przetwory owocowe. W oddziale pszczelnictwa: nauka o pszczole, systemy ulów, przybory pasieczne, gospodarka pasieczna, zużytkowanie miodu i wosku. W tym dziale praktyka i demonstracye odbywają się w pasiekach i warsztatach Towarzystwa.

Niezależnie od powyższych kursów trwających rok cały, zapowiada zarząd w roku bieżącym szereg wykładów, które przez dni 10 trwać będą, poczynając od 21 Września. Na te wykłady zapisywać się winny przedewszystkiem właściciele majątków ziemskich i ogrodów. Praktyczne zajęcia przy fabrykacyi przetworów owocowych, miodosytnictwo, wyrób win owocowych i octów, suszenie owoców i warzyw, robienie powideł i konserw, nakoniec zbiór, opakowanie i przesyłka owoców. Opłata za prawo udziału w powyższych praktycznych zajęciach w ciągu wymienionych dni 10 wynosi rs. 6. Zapisy na kurs roczny zarówno jak na wykłady dziesięciodniowe w kancelaryi Towarzystwa, ulica Wiejska nr. 12 w Warszawie.

Ze spraw rolnych.

System przyjęty przy zaprowadzaniu w Warszawie kanalizacyi, wykazuje już pewne ujemne strony w tem mianowicie, co dotyczy rolnictwa okolicznego. Dzięki spławianiu ścieków miejskich do rzeki cierpią blizkie Warszawy większe i mniejsze gospodarstwa rolne, które od lat kilkunastu niezasilane z miasta, wykazują już znaczne obniżenie w kulturze, a tem samem w urodzajności. Daje się to uczuwać tem dotkliwiej, że miasto nasze w dwóch trzecich częściach otoczone jest ziemiami bardzo małej wartości, które bez forsownego wzmacniania okazują się zupełnie niepodatnemi do produkcyi jarzyn i ogrodowizn. Nie pozostaje zatem nic, jak uciec się do systemu zakładania pod Warszawą pól irrygacyjnych, bez czego nietylko o zadosyćuczynieniu wzrastającemu ciągle zapotrzebowaniu, ale i o tem, jakie istnieje obecnie, myślećby nie można. To odprowadzanie nieczystości z rzeki okazuje się o tyle konieczniejszem, że taki jak u nas system kanalizacyi dał już w wielu miejscach za granicą nader ujemne dla zdrowotności miast rezultaty. Trzeba bowiem wiedzieć, że wody bieżące nie unoszą nigdy w całości tego, co im do spławu podaje kanalizacya, że owszem, wszędzie w blizkości od kolektorów tworzą się zatory namulisk, zabójczych dla zdrowia, które jak poucza doświadczenie, z trudnością nawet dynamitem poruszane być mogą. To się naturalnie daje uczuć dopiero po latach kilkunastu, i my też spokojnie oczekujemy, aż nam te lata upłyną, a wtedy dopiero okolice poza Bielanami na prawym i lewym brzegu będą prawdziwemi ogniskami dla wszelkiego rodzaju chorób zakaźnych. Tymczasem poprzestajemy na ostrzeżeniach — na radę w właściwem znaczeniu słowa przyjdzie czas, jak złe będzie należało do groźnych zdrowiu ludzkiemu.

W sprawie chorób roślinnych i szkodników zwierzęcych, stacya oceny nasion przy warszawskiem muzeum przemysłu i rolnictwa rozesłała do ziemian obszerny kwestyonaryusz, obejmujący cały szereg zapytań do wypełnienia w szemacie. Pożądanem byłoby bardzo gorliwe i skrupulatne wzięcie do serca odpowiedzi na postawione punkta, od bogactwa bowiem zebranego materyału zależeć będzie w znacznej mierze podanie środków zaradczych.

Spółka rybacka.

Na miejscu spółki rybackiej, która obecnie likwiduje interesa swoje, jak się pokazuje bez strat, a nawet z pewnymi zyskami, powstaje nowa pod nazwą „Stowarzyszenie rybne w Warszawie.” Wedle objaśnień, jakie daje co do niej „Kuryer Warszawski“ będzie to spółka udziałowa, uczestnikiem zaś jej będzie mógł być każdy nabywający jeden udział 100 rublowy. Stowarzyszenie zawiązuje się z kapitałem 60,000 rs. na 25 letni okres czasu, a wreszcie gdyby straty doszły do wysokości połowy kapitału zakładowego, będą mogli uczestnicy zażądać rozwiązania i likwidacyi. W myśl statutu żaden z uczestników nie ma prawa sprzedawać ryb osobie trzeciej, a każdy wykraczający przeciw temu artykułowi traci prawo do uczestnictwa i do odbioru nawet swojego udziału. Zarząd składać się będzie z 3 osób wybieranych na lat 3.

Konkurs naukowy.

Z legatu d-ra Romualda Pląskowskiego będzie przyznaną w r. 1900 nagroda pieniężna za pracę z dziedziny psychiatryi, bądź ogłoszona drukiem w języku polskim w terminie od dnia 24 Czerwca 1896 roku, jako rocznicy śmierci testatora do dnia 31 Marca 1,900 r., bądź też złożona Towarzystwu lekarskiemu w rękopisie. W braku prac wyróżniającej wartości z zakresu psychiatryi, mogą być nagrodzone ważniejsze prace z dziedziny anatomii patologicznej, jeśli te będą przyczyniać się do rozjaśnienia kwestyi powstawania i rozwoju cierpień umysłowych. Termin ostateczny do złożenia rozpraw naznacza się na dzień 1 Marca 1900 r. Za najlepszą pracę nagroda rs 185. Nadsyłać pod adresem sekretarza stałego Towarzystwa lekarskiego (ulica Niecała nr. 7) z zachowaniem co do rękopisów zwykłych form konkursowych.

Napad na drodze publicznej.

W minioną Sobotę grono osób odbywających na rowerach wycieczkę zamiejską zostało na szosie Jerozolimskiej napadnięte przez nietrzeźwych zapewne robotników tamtejszej cegielni. Spór na słowa nie mógł oczywiście trwać długo, a o skutecznej obronie czynnej ze strony cyklistów nie mogło być także mowy, ze względu, że nie było dotąd zwyczaju na takie parogodzinne ekskusye pozarogatkowe, w dodatku w dzień biały odbywane, uzbrajać się w broń palną. Tymczasem, jak się pokazuje, zwyczaj ten trzeba zmienić na inny, i jeśli kto zapragnie na przyszłość ożywić się powietrzem czystszem w dzień świąteczny, ten bez rewolweru wypróbowanego i dodatkowej jeszcze na przypadek jakiej sztuki broni białej, na tak hazardowną ekspedycyę nie będzie się mógł narażać. Rezultat tego napadu nader smutny. Jeden z napastowanych Cezary Sawicki na skutek ran zadanych nożem zmarł na drugi dzień, drugi p. Henryk Zawadzki jest na kuracyi, ale stan jego budzi poważne obawy lekarzy, albowiem rany zadane w głowę uszkodziły opony mózgowe. Pogrzeb ś. p. Sawickiego odbył się w dniu 11 b. m.

Niema co zasłaniać przed sobą prawdy—stan moralności ludu, podmiejskiego mianowicie, jest opłakany. Anegdotki, opowiadania i legendy swoją drogą, a swoją zdziczenie, krwiożerczość i zaczepne zachowywanie się tej ludności względem każdego, kto ma ręce umyte i bieliznę niezabrudzoną.

Książka, oświata, oddziaływanie drogą przekonania, dobre, potrzebne, niezbędne i obowiązkowe nawet dla każdego, ale to wszystko dla tych jeszcze przyda się na coś, którzy społeczności otwartej wojny nie wypowiedzieli—dla tych, których mamy wychowywać dopiero, jeśli wogóle nie są to z naszej strony zachcianki platoniczne, to znaczy, jeśli chcemy naprawdę, umiemy i możemy. Tu jednakże nie o żadne nauki moralne już chodzi, a wprost o obronę czynną przeciw zdziczeniu wyraźnemu a przeciw temu nas tymczasem żadne homilie i żadne sentymentalizmy nie zabezpieczą. Bardzo to jest niepokojące, bo objaw nie jest pojedynczy; owszem każdy z mieszkańców Warszawy, który się pokusi o taką świąteczną zamiejską wycieczkę ma coś do powiedzenia o sympatycznym nastroju mieszkańców glinianek i nor zarogatkowych.

W sprawie pomnika Mickiewicza.

Pan Cypryan Godebski, twórca postaci zmarłego poety naszego, zawiadomił przed paru tygodniami komitet warszawski, iż odlew posągu w bronzie dokonanym już został w Pistoi w pracowni Filipa Lippi i udał się jak niemożna lepiej.

Obecnie pewnem jest, że wysyłka odlewu nastąpi w końcu bieżącego miesiąca.

Odpowiedzi od Redakcyi.

W-na Zofia Gin. w Brańsku. Fason futra: przeważnie rotundy, noszone też będą polonezy. Gatunek: lisy albo opossy przybierane z wierzchu nurkami, tumakami albo sobolami. Wogóle kolor futra bronzowy. Czapeczki noszone są wełniane; dostać można w każdym sklepie wyrobów niciaaych.

W-na A. Bron. w Meszt. Dodatek „Tygodnika“ tylko w tej formie wychodzić może, w jakiej się dołącza obecnie.

Do numeru dzisiejszego dołącza się dodatek z modami.

Bracka 13. Meble bambusowe „MAISON NIPON" Najtańsze i najładniejsze. Bracka 13.

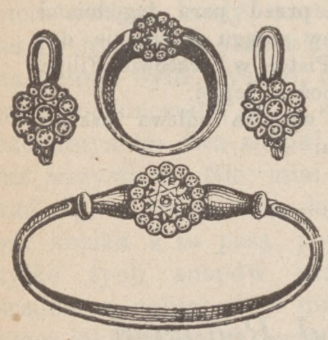
Przedmioty Gospodarstwa Domowego *Jerozolimska 72* **MAGAZYN „METROPOL"** Sprzedaż za gotówkę i NA RATY od 30 kop. tygodniowo *Jerozolimska 72* 766—50-47

SKŁAD ROWERÓW i MASZYN DO SZYCIA ROBERT WILCZYŃSKI
810—50—27 **ceny możliwie umiarkowane.** LESZNO Nr. 12.

SKŁAD MEBLI MAJSTRÓW STOLARSKICH *Marszałkowska 136 róg Ś-to Krzyzkiej 1 piętro.* 916—25—6

Zakład Ogrodniczy
W. Urbańskiego
b. pracownika firmy C. Ulrych oraz współpracownika firmy K. Kozłowski Bracka 11. Wielki wybór roślin, kwiatów ciętych, Bukiekiety, wieńce i dekoracye.
Ceny przystępne. 912—12—7

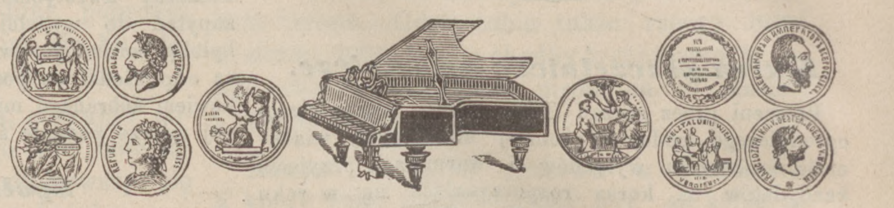
od rs. 125 ROWERY DAMSKIE od rs. 125
poleca Skład Angielsko-Belgijskiej fabryki
„MERCURY"
A. BORNSTEIN, Nowy-Świat 66.
905—12—9 Rowery te odznaczają się elegancyą, trwałością i lekkością.

SPECYALNIE NA PODARUNKI
Elegancki, złoty matowy garnitur 56 próby,

złożony z **bransolety, pierścienia, pary kolczyków i broszy, kameryzowanych,** t. j. osypanych dokoła paryskimi imitacyjnemi brylantami, **z prawdziwym ametystem** pośrodku
tylko za 25 rs. 50 kop.
Na życzenie zamawiającego można nabywać i pojedyńcze przedmioty, jak również – niekameryzowane.
Wysyła się w eleganckiem pudełku atłasowem po otrzymaniu 2 rs zadatku.
Adres: *Pracownia wyrobów złotych.* **M. GOLDENBERG** *w Warszawie, Granicz na 9.*
Firma posiada liczne podziękowania piśmienne. 927—25-2

WARSZAWSKI ZAKŁAD REPARACYJNY.
W. BŁAŻEJEWSKIEGO.
Widok 24 w Warszawie. 933-5?-2
przyjmuje reparacye **maszyn do szycia** wszelkich systemów.

Od Administracyi Albumu Artystycznego
„PANORAMA"
Nowe wydawnictwo albumowe polskie wychodzi w Warszawie zeszytami. Całe wydawnictwo obejmie 24 zeszyty, podzielone na 4 serye.
Serya I **Nasze piękne artystki**, II **Nasi artyści**, III **Obrazy znakomitych malarzy**, IV **Piękne Polki.**
Warunki prenumeraty w Warszawie: Pojedyńczy zeszyt kop. **60**, w przedpłacie za **4** zeszyty po kop. **50** za zeszyt. *Na prowincyi:* Cena pojedynczego zeszytu kop **60** i **10** kop. za przesyłkę pocztową. w przedpłacie za **6** zeszytów rs. **3** kop. **60** wraz z przesyłką.
Wszyscy bez wyjątku posiadacze całego dzieła bez względu czy je nabyli częściowo lub drogą prenumeraty otrzymają
bezpłatne premium
swój własny **portret fotograficzny** matowy na brystolu formatu 40×50 centym. jedynie za złożeniem fotografii. 943—8—2
Adres Administracyi: *Warszawa, Nowy-Świat № 61,* ***A. HINCHA i S-ka.***
Do nabycia we wszystkich księgarniach. Pierwszy zeszyt wyszedł z druku.

Przełożona Pensyi 3-y Klasowej Żeńskiej
z Klasą wstępną
na PRADZE, przy ulicy Targowej Nr 45,
ZOFIA ŁABUSIEWICZ
zawiadamia, iż zapisy uczennic tak przychodnich jak pensyonarek, na warunkach przystępnych, odbywać się będą od dnia 10 sierpnia od 2 do 6-ej. 940—6-2


MAŁECKI
Fabryka Fortepianów i Pianin
Jedyna fabryka w kraju nagrodzona medalami na wszystkich wystawach wszechświatowych 864—50—16
17. Krakowskie-Przedmieście 17.

Używajcie wszyscy Kakao Fruzińskiego.
Kakao Fruzińskiego uznane przez licznych odbiorców za najlepsze w smaku, oraz analizowane przez powagi lekarskie. Nie ustępuje w niczem najlepszym markom zagranicznym, a o połowę tańsze.
897—8—7
Parowa Fabryka Kakao, Czekolady i Cukrów Deserowych
J. Fruzińskiego
Warszawa, Marszałkowska 133. Filia Senatorska 6.
oraz we wszystkich pierwszorzędnych handlach w Warszawie i na prowincyi.

„Sudorivorat"
Potniki do obuwia męzkiego i damskiego. Obstalunki od rs. 3 załatwiam za zaliczeniami. Nowy Świat 61. 908-24-7

Pierwszorzędne biuro **Michaliny Ptak** i **Antoniny Piaseckiej** poleca nauczycieli nauczycielki, bony, sprowadza cudzoziemki. Krakowskie Przedmieście Nr. 38 wprost Placu Saskiego. 904—25—4

DENTYSTA CHWAT
Królewska 29.
Specyalność Leczenie i plombowanie zębów — **Zęby sztuczne** od 9-ej do 11-ej rano wyjmowanie chorych zębów pod **Chloroformem** w obecności lekarza. 937 25-2

Maszynki do mięsa bez noży
Maszynki do wyjmowania pestek z wiśni
Maszynki do zszywania próbek
Rowery damskie 898-15-9
polecają:
JULJUSZ HEGNER i S-ka
WARSZAWA
Plac Ś-go Aleksandra № 8.

ZAKŁD GALWANICZNY
JANA ZABOKLICKIEGO
b. Galwanizera firmy „Iflanda i p. Filipskiego"
Senatorska №. 28-30,
(dom Hr. Zamojskiego)
Przyjmuje złocenie, srebrzenie, niklowanie i oksydowanie wszelkich metali.
894—25—6


MAGAZYN
obuwia męzkiego, damskiego i dziecinnego i kaloszy
K. CHMURKOWSKI
ul. Mazowiecka N-r 6 w Warszawie.
PP. Studentom i Pensyonarkom ustępuję 5% rabatu.
942—25-1

Nowy Zakład Naukowy Żeński
z pensyonatem w Warszawie
BRONISŁAWY JASTRZĘBOWSKIEJ
otwartym zostanie z początkiem Września 1898 r.
Zapisy do klasy wstępnej, pierwszej, drugiej i trzeciej odbywają się codziennie w lokalu pensyonatu Marszałkowska 74.
896A—4—4

K. M. Schröder
Nowy Świat 24.
Skład fortepianów i pianin.
Wynajem i sprzedaż na raty.
Telefon 1288. **Cenniki gratis i franco.**
914—52—1

Zakład naukowy 6 kl.
MARYI RAUM
przeniesiony został
na ulicę Foksal 13.
Zapis uczennic przychodnich i pensyonarek od 25 Sierpnia, kurs nauk 5 Września. 945-3-1

„PRIMUS"
Kuchenki naftowo - gazowe palące się ***bez knota***, nie wydzielając odoru i kopcia.
Sprzedaż u
Ed. Dusoge
Nowy Świat 5.
Cenniki gratis i franco. 945—25—1

Marszałkowska 149. 922-12-5 **MAGAZYN MEBLI MAKSYMILIANA KALMUS.** *Marszałkowska 149.*

APTEKA K. WENDY **45 Krak.-Przedm. Telefonu Nr. 107.** **Wszelkie najnowsze środki lekarskie, Trany, Wina lecznicze, Mydła lekarskie.**
873-18-15 Istniejąca od czasów elektorów saskich.

Дозволено цензурою. Варшава, 6 Августа 1898 г. Warszawa Druk Emila Skiwskiego. Redaktor i Wydawca **Jan Skiwski** DODATEK.

Edmund Chojecki.

ALKHADAR

Ustęp z życia ojców naszych.

(Ciąg dalszy).

Ku niemu też, rano i wieczorem, zwracała pełną uwielbienia myśl, do niego odnosiła swoje uczynki, w jego imię niosła pomoc nędzy, jemu składała na ofiarę drobne swoje smutki, bezprzyczynne troski, szlachetne nadzieje.

Przyjazd Szambelana głaskał próżność Sokolnika, który ze szczęściem ugaszczał potomka znakomitej w Cesarstwie rodziny. Pani domu i kapelan, chętnie witali w nim jednego z dalekich krewnych świeżo zamianowanego kardynała Szwarcemberga i arcybiskupa Szafgotscha. Maryi, gość dodał obecnością swoją światła do własnych jej marzeń. Samo towarzystwo młodego mężczyzny, ożywiło mary jej wyobraźni, przyrzuciło wdzięku do śnionych ideałów, przedewszystkiem zaś nastręczyło przedmiot porównania.

Niemiecki panicz miał niezaprzeczoną zasługę. Nietylko, że na pierwszy pogląd nie raził oczu, ale nawet przyzwoicie odpowiadał wyszukanym, światowym wymogom. Wrodzona narodowa sztywność trafnie mu przypadała do wyniosłego tonu pańskiego wychowania. Dobór wyrazów, okrągłość w obejściu, kawalerski szacunek dla kobiet, tłum ciekawych szczegółów zaczerpniętych w kronice wysokiego towarzystwa pierwszych miast Europy, zdradzały człowieka z korzyścią wyżytego w wielkim świecie.

Ton, jaki Sokolnik utrzymywał w Wiedniu, a może nawet w pewnej części i wdzięki Maryi, zwróciły uwagę wydziedziczonego na polską hrabiankę. Nie chcąc atoli mieszczanić się nieprzystojnym dla panów pośpiechem, wyrobił sobie w Wiedniu rozkaz udania się za rządowemi sprawami do Lwowa. Stanowisko to dozwalało mu prowadzić poczęty zamiar z należytą ostrożnością, niepotrzebnie zadaleko się nie wysuwać, godności własnej w niczem nie narażać, zwlaszcza zaś majątkowi Sekolnika zbliżka się przypatrzeć.

Zaproszony we Lwowie na wieś, z początku wymawiał się rządowemi zatrudnieniami, po długich jednak naleganiach, przyjął zaprosiny i w kilkanaście dni po wyjeździe Sokolnika z miasta, stawił się na słowie.

Marya wcale nie odgadywała prawdziwych zamiarów Szambelana. Dusza jej pełna szlachetnych uniesień broniła przystępu pojęciu nawet o możebności, w podobnym razie, jakiejkolwiek rachuby. Nie wątpiła atoli, że rodzice, jedynie wdziękom córki, winni byli odwiedziny młodego dygnitarza.

Stanowisko społeczne, wykwintna powierzchowność, powszechnie cenione zalety nowego czciciela wywołały w niej to uczucie zadowolenia, jakiem hołdy zalotnika poważanego od gawiedzi, przejmują każdą młodą dziewczynę. Hrabianka mimowolnie uległa wpływowi wiary we wrażenie, jakie istota jej wywierała na gościu. Oczywiście, ten ostatni porzucał świetne towarzystwo stolicy, przyjeżdżał z Wiednia dla zadośćuczynienia niepokojom serca, tajemnym, a nieprzyzwyciężonym popędom uczucia, przyjeżdżał uwielbiać, cieszyć się drogim widokiem.

Tymczasem przybycie nowego, drogiego gościa, otwierało jej nowe pole, nowe wrażenia, nowe zajęcie.

Kazimierz na kilka dni przed Sokolnikiem, opuścił był miasto. Piotr naglił go do wyjazdu, tłumaczył się koniecznością zdania mu na gruncie rachunków z opieki, żalił na zbytek zatrudnienia, z niechcenia przypomniał, że czas nadszedł, aby młodszy brat połowę ciężaru przyjął na siebie.

Kazimierz z serdecznym pośpiechem biegł naprzeciw życzeniom Piotra; w podziale pracy sądził, że według słuszności, nie połowa ale całość mu przypadała. Po dwudziestu przeszło latach ciężkich dla wspólnego dobra trudów, opiekun jego miał niezaprzeczone prawo do spoczynku.

O Sokolniku i jego rodzinie żaden dotąd ust nie otworzył. W kilka dopiero dni, na samym odjeździe, Piotr żegnając się z bratem, przypomniał mu niby od niechcenia, że nie należało zalegać odłogiem zaprosin magnata, że obietnica dotrzymania słowa na obu nich zarówno ciężyła, że jednak rad byłby, aby Kazimierz go wyprzedził, on sam bowiem dla nader ważnych spraw, przez parę tygodni kamieniem będzie musiał w domu pozostać. Kilka ogólnych zaręczeń brata wyrzeczonych z uśmiechem, ze ściśnięciem ręki uspokoiły obawę Piotra, który pełen nadziei i otuchy odjechał, przędąc w myśli szczęśliwą nić ulubionych zamiarów.

Kazimierz pozostał sam.

On nie zastanawiał się, ani rozmyślał nad swoją przyszłością; skupiał raczej w jedno ognisko rozpierzchłe iskry doznanych wrażeń i własnych pojęć, wywoływał w imię rzeczywistości otaczającą go teraźniejszość, rozglądał jednego po drugim ludzi, z którymi los, na rodzinnej ziemi rzucał go w stosunki, kładł im rękę na tętno, pytając siła-li w nich jeszcze życia, ważył ich w sumieniu, badał zarodów dzielności i prawdy.

Fanatyczny prawie czciciel białego, wszechwładnego Boga, wierzył w złe strony ducha jako w przypadek, jako w chorobę, z której trafne a proste częstokroć lekarstwo, mogło cierpiącego wyzwolić i w całą potęgę sił moralnego zdrowia uwielmożyć.

Sił tych, na gwałt było potrzeba.

Druga matka, ta którą Kazimierz zarówno kochał, matka nieśmiertelna, konała z wycieńczenia. Dławiona do ziemi kolanem, krew sączyła z ran, a co gorsza, a co najgorsza, truto w niej żywioły serca, gaszono błyski rozumu, bezczeczono jej istotę gangreną dworskiego służalstwa, jezuickiego obskurantyzmu, strupieszałych pojęć.

W podróżach swoich po Włoszech, Kazimierz zaprzyjaźnił się był z ludźmi, którzy później przeszedłszy przez Golgotę sądów Rakuskich, siła nazwisk dodali do świętego matyrologu ludów. Zetknięcie z tymi nowymi Krzyżowcami, wywarło na nim potężne wrażenie, rozniecilo w szeroki płomień tlące na dnie ducha iskry.

Powróciwszy do kraju, szukał ludzi podobnych do lombardzkich swoich druhów.

Do koła rozlegały się śmiechy, hulanki, polowania, tańce.

Albo nieśmiertelność duszy była głupią chimerą, lub też niewiara w obudzenie uśpionego zapału, zdrętwiałej miłości do swobody i do kraju, stawała się świętokradztwem.

Położenie Kazimierza, usprawiedliwiało ufność, jaką sam w sobie poczuwał.

Młody, trawiony gorączką czynu, zahartowany przekonaniem, majętny, wsparty powagą powszechnie szanowanego brata, po raz pierwszy zjawiał się w kraju. Cierpkich stosunków nie liczył, nieprzyjaźniom nie dał żadnej przyczyny; pełen pobłażania dla drugich, wierzył w ludzką wzajemność. Sam gotów na wszelkie oflary, dla czegożby nie miał otworzyć oddawna wyschłego w kraju źródło poświęceń.

W podobnych rozmyślaniach, Kazimierz strawił kilkanaście dni po odjeździe Piotra. Odosobnienie coraz ponętniejszemi barwy tęczowało mu ideał, który na dnie serca wypieszczał. Śród wieczornych przechadzek nad jeziorem, snuły się mu szeregi niewieścich postaci przyodzianych w rysy żywo tkwiące mu w pamięci.

Pewnego dnia kołysany wewnętrznym niepokojem, przypomniał sobie daną Piotrowi obietnicę. Przywiązanie do brata nie pozwalało mu zwlekać spełnienia choćby ostatniego z jego życzeń.

Kazimierz wyjechał nazajutrz do Sokolnika.

Magnat przyjął go ze zwykłą uprzejmością, dziękował, kilkakrotnie ściskał za ręce.

Szambelan jakkolwiek we Lwowie jeszcze uprzedzony był przez Sokolnika, że Poraj należał do znakomitej w kraju rodziny, nie słysząc atoli żadnego tytułu przed nazwiskiem nowego gościa, zesztywniał— o dwa guziki wyżej zapiął się pod szyję.

Drobnostki te uchodziły uwagi Kazimierza. Nie przypuszczał skutku bez przyczyny; jakiż zaś powód niechęci ludzie mogli byli wynaleść przeciw niemu, który względem nich żywił najczystsze zamiary? Po cóż wreszcie było zastanawiać się, badać, gatunkować poziome chwasty i pełzający mech, wówczas, gdy w rozkosznej woni i czarownych barwach, rozwijał się mu przed oczyma kwiat — młoda dziewczyna, stulistne różowe zjawisko, uosobienie przyrody rozweselonej do koła we wiośnie?

Kilka tygodni ubiegłych od wyjazdu Kazimierza ze Lwowa, śladu nawet cienia nie rzuciło na znajomość z Sokolnikiem i z jego rodziną. Marya przywitała go z tym siostrzanym wdziękiem, do jakiego ośmielały ją długie, w mieście, poufałe rozmowy i uprzedzająca dla Poraja gościnność rodziców. Pamiętała, że Kazimierz, pierwszy odzywał się

do niej odmiennym od powszechnego, nowym dla niej językiem, że rozmowy nie prządł z bladych ogólników o jej wdziękach, i często odkrywał przed nią pojęcia i prawdy, nad któremi, później w samotności, dziewczyna wpadała w głębokie dumania.

W towarzystwie Sokolnika najwięcej rozmawiano o zagranicy.

Szambelan dostatecznie w tym względzie zaspokajał ciekawość starszego pokolenia, przytaczając anegdoty o znanych z nazwiska ludziach. Marya radziej słuchała Kazimierza, który wraz z objaśnieniami z życia umysłowego lub estetycznego, przypominał swoje podróże. Uderzała ją nowość spostrzeżeń; bawił szczególniejszy zakrój opowiadań młodego gościa.

Ile razy rozmowa zapędziła się na cudzoziemskie kraje, Poraj schwyciwszy pierwszą lepszą myśl, obraz, zwyczaj, wynalazek, mimowolnie powracał do ojczystej ziemi.

Lud wiejski, natura, niebo, wypiękniały jej do koła, kwiaty wyrosłe na rodzinnej niwie nowego nabrały uroku.

Stworzycielem tego nieznanego jej dotąd świata, był Kazimierz; każda myśl, z tego wątka wysnuta w głowie dziewczyny, musiała wracać, odnosić się do twórcy.

Poraj nie błagał nigdy o muzykę, sposobem atoli, z jakim słuchał, dowodził o ile był jej godnym. Utkwiwszy w dół oczy, od pierwszej do ostatniej nuty nie zmieniał postawy, nie podnosił wzroku, nie wyrzekał słowa; zdawało się, że z posyłanych mu dźwięków wił w głębi ducha jakieś drogie sercu fantazye.

Miedziany głos Szambelana, który w podobnych chwilach sądził niezbędnem wyrażać swoje zadowolenie, odgłos kroków Sokolnika, który nie umiał długo usiedzieć na jednem miejscu, dawały hasło ostatniego akordu.

Kazimierz powstawał, zwolna włosy odgarniał, przecierał oczy, jak gdyby budził się ze snu. Słowa więzły m w piersiach, nie mógł nigdy zdobyć się na jedną nutę w tym chórze pochwalnych ogólników, jaki towarzystwo zawodziło na cześć młodszej mistrzyni.

Szambelan, Sokolnik, czasami nawet ksiądz Tapczyc, dopraszali się o więcej muzyki; Kapelan zwłaszcza, przepadał za wiedeńskimi walcami! Marya za całą odpowiedź sucho zamykała fortepian.

— Napróżno błagasz księże kapelanie — mówił pewnego dnia Sokolnik, zrażony jedną z podobnych odmów córki; wiesz dobrze, że na upór niema lekarstwa; poprzestań na tem, co słyszałeś i przez grzeczność nazwij stałością charakteru obojętność na twoje prośby.

— Ależ mój ojcze, grałam przeszło godzinę; jestem zmęczoną.

— Czasami grywasz po całych nocach; niepodobna oderwać cię od fortepianu.

— I niszczysz zdrowie — dodała Sokolnikowa — słusznie ojciec mówi — nie masz sama nad sobą miłosierdzia.

— Młodość żyje w ostatecznościach—rzekł doktoralnie magnat; w niczem niezna miary.

— Hrabianka ma swoje niezwalczone przyczyny — wtrącił niedbale Szambelan, zakładając nogę na nogę — gra, kiedy czuje się usposobioną — przestaje skoro chęc ją odleci. Wreszcie niezależność od cudzej woli lub próśb jest pierwszym i niezaprzeczonym przywilejem każdego artysty.

— Któż tu między nami artystą? — zapytała z uśmiechem Marya.

Widać, że pani nigdy nie słyszałaś się grającej; tem więcej jeden dowód prawdy słów moich.

Rodzice ukradkiem z dumą po sobie spojrzeli; kapelan śmiał się i kiwał głową z potakiwaniem.

— Tem lepiej — rzekła Sokolnikowa — radabym dla twego zdrowia, aby do reszty odstręczono cię od nocnych muzyk.

— Mojem zdaniem — ciągnął dalej Sokolnik — możemy zostawić muzykę indywiduom pozbawionym innego sposobu do życia i kobietom, których ona jest właściwą ozdobą, jako kapelusz z piórami lub dyamentowy bukiet. Dla ludzi żyjących w świecie, wystarcza znać się na sztuce, aby módz wspomagać grajków i znaleźć jedną więcej sposobność uwielbiania płci pięknej. Oddajmy wreszcie Cezarowi co Cezarowego. Panowie ci, których moja córka nazywa swymi mistrzami, dbają raczej o sąd kobiet, aniżeli, jak mówią poeci, o pochwały brzydkiej połowy rodzaju ludzkiego. Jasne rozumowanie. Muzyka jest rozrywką i jako taka przynależy tym, których życie skazane jest na ciągłą zabawę.

— Wyborne wyrażenie mój ojcze! na ciągłą zabawę można być tylko skazanym.

— Rozrywka, zatrudnienie, są to słowa, którym wartość nadajemy według upodobania. Co dla nas mężczyzn jest zabawą, dla was stanowi pracę. Natura mądrze się urządziła, jednemu dała siłę, drugim wdzięk; sile wyznaczyła za cel użytek, kobiecemu życiu przyjemność.

— Wyrok ten, panie hrabio — rzekł Kazimierz — mógłby obu stronom nie przypaść do smaku. Mniemałbym, że uczucie piękna do wszystkich zarówno należy. Prawda jest jedna na świecie i równą wartość posiada, zawarta w surowym objawie ścisłej pracy lub w natchnionem dziele sztuki. Jeżeli zaś zdarza się, że to ostatnie, na męzkiej połowie ludzkości, mniej doraźne i głębokie sprawia wrażenie, dzieje się to dla tego, że kobieta magnetyczną niejako siłą czucia odrazu tam się wznosi, gdzie mąż często po mozolnej pracy zaledwie potrafi się dostać.

— Nie jasno się wytłumaczyłem — panie Kazimierzu. To, co nazywasz sztuką, upięknia życie ludzi, należących do towarzystwa; nieprzeczę — ale dodaję, że wyobraźnia, jest, jak sam przyznajesz, czulszą, drażliwszą w kobietach, i dlatego dzieła większej części sztuk do nich się raczej odnoszą. Poeta, muzyk, malarz, żyją zmyśleniem; kobieta z natury swej unika rzeczywistości; jedni i drugie mają wspólny punkt zetknięcia, na którym odrazu się rozumieją. Stanowisko to niedostępnem jest dla nas, zajętych zwykle poważnem przebijaniem się przez życie, sprawami żywotnemi rodzin, niekiedy nawet i państw. Ten, kto powiedział, że artysta była to kobieta w męskiej postaci, może nie o wiele się pomylił.

Dygnitarz uradowany powszechnem milczeniem i uwagą, tak dalej prawił:

— Snycerz uwieczniający w marmurze lub spiżu, postacie monarchów, bohaterów prawodawców, nie poczuwa w sobie iskierki rzewności, łzawych westchnień, roztęsknionych zadumań, niema więc nic wspólnego z krainą muzyka lub poety i stąd więcej od malarza przechodzi na stronę męską, zwłaszcza też, jeżeli wystrzega się Kupidyna i jego matki. Ostatnia nareszcie sztuka, królowa wszystkich sztuk, najwznioślejsza, bo najużyteczniejsza i najtrwalsza, architektura—nie nosi na sobie cienia nawet kobiecego wpływu. Przypatrz się pan starożytnym pomnikom Rzymu, a więcej jeszcze Grecyi. Gdyby wierszopise, snycerze i etruscy rysownicy, nie byli nam podali ówczesnych niewieścich kształtów, z tego, co nam po budowniczych zostało, moglibyśmy wnosić, że w dawnym świecie sztuki i umiejętności, kobieta nie miała żadnego znaczenia. Kto wie, czyli starożytna architektura nie zawdzięcza wiecznej swojej piękności temu właśnie uchyleniu się z pod słodkiego jarzma niewieścich wdzięków!

— Zapewne — rzekł Szambelan — kwestya nie ulega żadnej wątpliwości, tembardziej, że z ulotnej architektury Greków nic nam nie pozostało, w tem zaś, co widzimy, jak słusznie pan hrabia mówi, samolubnie niegrzeczny, męski tylko genjusz przebija. Słyszałem raz podobne dowodzenie z ust księcia Hardenberga.

Kazimierz spokojnie ścigał estetyczne wywody Sokolnika, dziwił się łatwości, z jaką ludzie, w mgnieniu oka na podstawie fałszu wznosili piramidy błędów, składał na karb zastarzałych pojęć herezye magnata, skoro jednak usłyszał wspólnicze bluźnierstwo Szambelana, nie mógł przenieść swobody, z jaką dwaj ci panowie rozpościerali miałkie swoje teorye i rzekł:

— Pan hrabia nie posądzisz mnie o pochlebstwo, jeżeli odważę się bronić sprawy greckich kobiet, a co do mężczyzn, to tem właśnie uchylaniem się w architekturze z pod niewieściego wpływu, byliby więcej dali dowodów barbarzyństwa niż wykwintnego smaku. Szczęściem, rzecz miała się wcale inaczej. O bezpośrednim wpływie kobiet, lub przynajmniej tego rzewnego, sercowego uczucia, jakie pan nazywasz wyłącznie kobiecem, nie godzi się nam powątpiewać.

— To się nazywa być biegłym obrońcą; sprawa wasza, moja żono, wpadła w dobre ręce; lekam się tylko, abyście same nie zrzekły się korzyści, jakie wam zapewnia wykonanie wyroku. Co do mnie, zawczasu uprzedzam, że skoro która z was zostanie prawnikiem, architektem lub astronomem, długo będę się namyślał zanim rozpocznę proces, wdam się w budowę pałacu lub w kupno kalendarza.

(Dalszy ciąg nastąpi).